

Boliwar Ameryki Północnej

Autor tekstu: **Witold Stanisław Michałowski**

Wielu, mieszkańców Nowego Jorku nigdy w swoim życiu nie zobaczy gór. Uwikłani w codzienną gonitwę za dolarami, miażdżeni przez miasto, bezlitosnego, bezwzględnego molocha, krótkie godziny odpoczynku spędzają przed ekranami telewizorów lub leżąc w czasie weekendów beładnie upchani na plażach Atlantyckiego Oceanu. Są jeszcze i ci, których spotkać można w Central Park lub czasem natknąć się na nich w ulicznym tłumie. Biegają przed siebie, przyciskając łokcie do boków, łapiąc szeroko otwartymi ustami hausty ciężkiego od spalin i wyciewów powietrza, „joggują”. Patrząc na nich nie trudno oprzeć się myśli, że obecnie dorastające pokolenie czeka na konflikt. Konflikt, przy którym wszelkie dotychczasowe antagonizmy polityczne, rasowe, społeczne czy religijne odejść muszą w cień. To nie będzie konflikt, to będzie walka. Walka na śmierć i życie o dostęp do... czystej wody i świeżego powietrza, o możliwość wyzwolenia się choć na parę chwil z paraliżującej obecności tłumu. O możliwość bycia samemu nad brzegiem rzeki, w lesie, w górach. Coraz więcej ludzi zdaje sobie sprawę z tego co nadchodzi, ale coraz trudniej jest zrezygnować z miękkiego fotela, drinka i wszystkiego tego, co za cenę ciężkiej pracy większości zaharowanych ludzi daje dzisiaj „cywilizacja”.

Tempora mutantur et nos mutamur in illis — stara łacińska maksyma mówi prawdę. Czasy się zmieniają, i my zmieniamy się wraz z nimi! Do amerykańskiej Szwajcarii w stanie New Hampshire jest zaledwie 340 mil od nowojorskiej Piątej Alei. Najwyższe na północnym wschodzie Stanów Zjednoczonych dumne gniazdo wspaniałych gór, Białych Gór — White Mountains, park narodowy Białych Gór obejmuje obszar 295 431 ha wysokich gór, lasów, jezior i strumieni. Z łańcucha Appalachów wyrastają ku niebu szczyty, na ich wierzchołkach żyli bogowie czerwonych ludzi. W 1642 roku niejaki Darby Field wspiął się jako pierwszy na najwyższy granitowy wierzchołek, znajdujący się 1916 m nad poziomem oceanu. Nazwano go później imieniem pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Dziś prowadzi nań wysypywany żwirem trakt, a tysiącom turystów z całego świata sprzedaje się „T-shirts” z napisem „This body climbed Mt. Washington”. Podobne napisy spotkać można i na zderzakach samochodów z tym, że „body” zastępuje stosowny rzeczownik. Koszt wjazdu i zdobycia tytułu wspinacza niewielki. Zaledwie 8 dolarów od samochodu i 2 dolary od każdej siedzącej w nim osoby. Drogę na szczyt udostępniono do publicznego użytku już 120 lat temu. Później konne omnibusy zastąpiły wehikuły bardziej nowoczesne.

Pracownicy obserwatorium meteorologicznego na szczycie uważają zajmowany przez nich budynek za — strongest building in the world. Zdołali zarejestrować huragan wiejący z szybkością 231 mil na godzinę. Średnia temperatura roczna wynosi tu zaledwie 27 stopni Fahrenheita (tj. 3°C) trudno więc się dziwić, że chętnych do dłuższego pobytu na Mt. Washington jest raczej niewielu. Jednak rozległa panorama, widok niekończących się łańcuchów górskich, dolin, potoków, szmaragdowych jezior, ciemnych plam borów i płynących na horyzoncie chmur pozostaje na długo w pamięci.

Zaparkowawszy samochód na jednym ze 160 campingów znajdujących się w rejonie White Mountains, mając plecak i mocne buty można pójść w góry. Z położonego tuż przy stanowej szosie nr 3 niedużego uroczego miasteczka Woodstock niespełna godzinna wspinaczka wijącą się zalesionym zboczem ścieżką doprowadza na brzeg cichego jeziora Lonesome Lake. Ukryte w lesie schronisko Appalachian Mountain Club gościnnie otwiera podwoje. Drewniany wsparty na wbitych w skałę słupach okrągły budynek zaskakuje niezwykle kształtem. W środku na zmęczonych turystów zawsze oczekuje waza z ciepłym chłodnym napojem. Pierwsza szklanka „free of charge”, następna już po 25 centów. Ustawione w gwiazdę drewniane stoły i ławy dotykają kuchennej lady. Młoda załoga schroniska, składająca się z członków Klubu, przygotowuje posiłki, przynosi na górę produkty żywnościowe, sprzęt i... dźwiękami gitary budzi śpiochów codziennie o 6.30. Śniadanie o siódmej. Piętrowe prycze, wełniane koce. Ład i porządek przypominają szczenięce, harcerskie lata. Cisza i spokój. Szum lasu, wieczorne mgły otulające odległy Mt. Lafayette. Kąpiel w jeziorze nocą przy blasku gwiazd i księżycy szybko pozwala zrzucić z siebie zmęczenie, złe myśli, troski, kłopoty.

Utrzymanie tego ładu i porządku wymaga ogromnych starań. W schronisku za żadne
Racjonalista.pl Strona 1 z 7

skarby nie można odnaleźć drzwi oznaczanych zwykle literami WC lub „Man” czy „Women”, natomiast nie wiadomo dlaczego ktoś starannie wykaligrafował napisy „storage” i „generator”. Hałasu „generatora” jednak nie słychać. Może zepsuty? Komunikat energicznej szefowej załogi przy kolacji wyjaśnia nieporozumienie. Napisy na drzwiach mają wprowadzać w błąd gości, którzy nie zamierzają nocować. „Storage” to jest właśnie dla Panów, a ten drugi przybytek dla Pań. Granitowe podłoże, w którym osadzono fundamenty budynku, jest nieprzepuszczalne. Ścieki spłynęłyby do pobliskiego jeziora. Jedynym rozwiązaniem jest więc zwożenie ich na dół. Robi to helikopter, który od czasu do czasu dostarcza również butle z płynnym gazem służącym do opalania kuchni i oświetlenia. Godzina lotu helikoptera kosztuje 300 dolarów, więc należy starać się, aby kursował jak najrzadziej. Logiczne i zrozumiałe. Podobny system kanalizacji sanitarnej, wspomagany transportem powietrznym pojemników z nieczystościami, zastosowano we wszystkich ośmiu schroniskach Appalachian Mountain Club (AMC) odległych od siebie o jeden dzień wędrówki. Blisko 30 000 rzesza członków AMC utrzymuje wyznakowany przed wielu dziesiątkami lat szlak w idealnym porządku.

Appalachian Mountain Club powstał w 1876 roku. Jego nakładem ukazuje się najstarsze w Ameryce czasopismo poświęcone górcom — Appalachia. Stale korygowany przewodnik doczekał się już dwudziestego któregoś wydania. Wysoko w górach, prawie na granicy lasów, AMC ustawiło też szereg prostych drewnianych schronów. W większości z nich nocleg jest bezpłatny. Musisz tylko przynieść ze sobą śpiwór i niezbędny zapas żywności oraz wpisać się na listę korzystających i... nie mieć za złe bobrom z najbliższego jeziora, jeśli pracowitym pluskiem gałęzi drzew taszczonych na budowę podwodnych siedzib nie pozwolą przez większą część nocy zmrzyć ci oka. Przysadzista ni to szopa, ni to wiata z drewnianych bali, bez drzwi i okien. Czysto zamieciono deski podłogi muszą wystarczyć za materac. Wrażenie nieco psuje falista ocynkowana blacha, jaką pokryto dach schronu. Oszczędność czy zabezpieczenie przed pożarem? Chyba jedno i drugie. Na zewnątrz, w odległości zaledwie paru metrów, krąg z kamieni, gorący popiół wskazuje, że ktoś niedawno palił tu ogień. Innych śladów pobytu człowieka brak. Wszystkie, dosłownie wszystkie resztki jedzenia, zużyte opakowania, każdy zabiera ze sobą, mając do tego celu parą specjalnie przygotowanych różnej wielkości plastikowych toreb. Autorzy różnych folderów i przewodników przypominają, że stanowić one powinny podstawowe wyposażenie wybierających się w góry. „Plastic trashbags” są wymieniane jako rzeczy absolutnie niezbędne zaraz po „food”, „guidebook”, „map and compass”.

Wielki Szlak Appalachów ciągnie się głównym grzbietem na przestrzeni blisko 200 mil od stanu Maine do stanu Karolina. Spotkać można na nim młode zakochane pary, starsze w dawno emerytalnym wieku panie, samotnych hippisów i małżeństwa z nieletnimi dziećmi, ale bardzo trudno znaleźć choć jedną puszkę po konserwach. Rygorystycznie też przestrzegana jest zasada nie rozbijania biwaku powyżej linii drzew i co najmniej 200 stóp (około 65 metrów) od szlaku i tyleż samo od najbliższego strumienia. Nie do pomyślenia jest mycie brudnych naczyń przy użyciu detergentów w górskich rzekach czy jeziorach. Ochrona przyrody, zapobieganie bezmyślnemu niszczeniu naturalnego środowiska człowieka dla mieszkańców jednego z najbardziej uprzemysłowionych państw świata nie jest pustym frazesem.

Droga ze schronu nad jeziorem Kingsmana na grzbiet o tej samej nazwie nie zajmuje więcej niż pół godziny. Intensywnie pachnie żywica spływająca z karłowatych świerków, tworzących trudny do przebycia gąszcz. Białoszara, szorstka w dotyku granitowa skała prześwieca tu i ówdzie. Na wierzchołkach ułożone ręką ludzką kopczyki kamieni i wspaniała, rozległa panorama. Bezludzie. Na północy majaczące na skraju mgieł i obłoków zbocza, a nad nimi szczyty. To dolina rzeki świętego Wawrzyńca, a dalej już Kanada. Na południowym wschodzie, przy dobrej widoczności, można dostrzec lśniąca taflę wielkiego jeziora Winnepesaukee i dalej, bardzo daleko, Ocean Atlantycki. Wielki Szlak Appalachów stromą kamienną rynną schodzi w dół do niedużego jeziora o podmokłych, bagiennych brzegach. Równo ogryzione kłody drzew świadczą wyraźnie o tym, kto w nim zamieszkuje. Dalej znów wspinaczka, a potem zejście wzdłuż skaczącego po omszałych zielonych skałach strumienia. Dzień pobytu w górach znanych z młodzieńczych lektur, po których błądzą duchy czerwonoskórych wojowników, a które na zawsze zachowasz w pamięci.

Albany Argus” i jej wieczorna edycja „Albany Evening Journal” były szanującymi się gazetami. Obie wydawane w stolicy stanu Nowy Jork, reprezentowały niejako oficjalne stanowisko władz. Informowały o najważniejszych wydarzeniach w kraju, zamieszczały przemówienia wygłaszane na posiedzeniach Kongresu, depesze z Europy no i oczywiście całą masę wiadomości przydatnych dla ludzi businessu. Cała pierwsza strona z 30 listopada 1838

roku jest zajęta ogłoszeniami reklamowymi („Profilaktyczne bibułki Cullensa”, „Gwoździe, żelazo, stal, łopaty i siekiery Domu Handlowego F.R. Bachusa”, „Papier kolorowy i atrament”, „Patentowe buty i trzewiki z korkową wkładką”, „Węgiel w najlepszym gatunku”, „Tanie czapki i kapelusze”. Pewna pani informuje też damy z Albany i okolic, że ostatnio otrzymała najmodniejsze stroje, „prosto z Paryża”. Siedem kolumn petitem. Ogłoszenia na pierwszej stronie były drogie. We wnętrzu numeru mamy informacje o pierwszym wejściu damy na Mont Blanc. Czterdziestoletnia alpinistka nazywała się Henrietta d'Angevolle, a towarzyszył jej Pan Karol Hoppen, polski gentleman. Sąsiednie kolumny wypełnia natomiast szczegółowa relacja o wydarzeniach na kanadyjskiej granicy *Potyczka pomiędzy Patriotami a Rojalistami pod Prescott*.

Patriotami dowodził pewien Polak. Zdobył uznanie korespondenta za próbę zdobycia pogranicznego Fortu Wellington nocnym atakiem na bagnety. Niestety, amerykańscy wolontariusze to nie wiarusy spod Olszynki Grochowskiej. Woleli wymianę strzałów.

Uniemożliwiło to wykorzystanie elementu zaskoczenia. W następnych numerach, gazeta obszernie informuje o przebiegu bitwy pod znajdującym się na przedpolu Prescott wiatrakiem, stratach obu stron, prowadzonych w tym samym czasie walkach na terenie Dolnej Kanady. Stanowisko władz amerykańskich wobec wydarzeń jakie się rozgrywały na północnej granicy było jednoznaczne. Podjęta przez nie akcja uniemożliwiła udzielenie oblężonym na przyczółku na drugim brzegu rzeki Św. Wawrzyńca jakiegokolwiek pomocy. Terminy używane w publikowanych z blisko tygodniowym opóźnieniem korespondencjach z Ogdensburga, ulegają ewolucji. Określenia takie, jak Patriotci, Bojownicy Wolności zastąpione zostały innymi, o znaczeniu pejoratywnym. Władze brytyjskie królewskiej kolonii i republikańskich Stanów Zjednoczonych przemawiały tym samym językiem. 13 grudnia 1838 roku amerykański czytelnik dowiaduje się, że miał miejsce: „sąd wojenny nad uwięzionymi piratami”. Sprawozdawca odnotował nazwiska zespołu sędziowskiego, świadków, treść zadawanych pytań, odpowiedzi oskarżonych.. Najwięcej miejsca zajęła relacja o przesłuchaniu dowódcy piratów. Szokującym dla żurnalisty był fakt, że Polak Nils Szoltevekki Von Shoultz, upewniwszy się czy wypowiedziane przez niego słowa zostaną przekazane Jego Ekscelencji Gubernatorowi zakomunikował Sądowi że... czuje się winny i nie prosi o łaskę. Przypieczętował tym swój los. Z zeznań świadków i złożonego oświadczenia wynikało, że zgodził się przyjąć stanowisko komendanta oddziału, który dokonał inwazji na stronę kanadyjską dopiero po usilnych naleganiach i dezercji tchórzliwego „generał-majora” Birge'a. Wierzył, że niosą wolność uciemiężonym mieszkańcom brytyjskiej kolonii, oraz że dezercerujący żołnierze sił regularnych armii Jej Królewskiej Mości, przyłączą się do nich jak tylko wylądują na kanadyjskiej stronie. Pomocy nie otrzymał. Możliwości powrotu nie mieli jego podkomendni. Postanowił ich nie opuszczać. Dlatego podjął decyzję umocnienia zajętego przyczółka. I bronił go tak długo, jak tylko było to możliwe. Na zakończenie przesłuchania stwierdził z dumą, że pomiędzy miastami Kingston i Quebeciem pozycja, jaką zajmowali, nie miała sobie równej.

Miał chyba rację. Szczególne walory strategiczne przyczółka zajętego przez desant polegały nie tylko na metrowej grubości masywnych murach kamiennego wiatraka, Budowlę mającą obłą, cylindryczne ściany wzniesiono na wysokiej nadbrzeżnej skarpie. Krzywe balistyczne torów pocisków wystrzeliwanych z dział stojących na pokładach statków wojennych Royal Navy załamywały się pod kątem. Od strony ładu, w najbliższym sąsiedztwie, wysokie, zasłaniające obiekt wydmy znajdowały się w zasięgu ognia muszkietów, co uniemożliwiało podciągnięcie dział na odległość potrzebną do precyzyjnego celowania. Nie znano jeszcze celowników optycznych i nie umiano dokonywać skomplikowanych obliczeń by skutecznie razić niewidoczne cele. Pośpieszne ułożenie kamiennej osłony pomiędzy najbliższymi zabudowaniami osady Nowa Jerozolima znakomicie osłaniającym przedpole, pozwoliło skutecznie bronić się przeciw kilkunastokrotnie liczniejszemu nieprzyjaciółom. Gdy oblegającym w nagłym ataku udało się zawładnąć jednym z budynków, z których mogli ostrzeliwać furtę prowadzącą do wnętrza młyna, a tym samym odciąć tych, co byli w środku od dostępu do wody, osobiście poprowadził kontratak na bagnety. Przeciwnik bezładnie podał tyły. Komendant objął dowodzenie wysuniętej reduty. W niej zastała go kapitulacja. Białą flagę wywiesili pozostali w młynie. Nie miał do nich żalu. W końcu byli ochotnikami, wielu nigdy nie wachało prochu, Dla wielu była to ich pierwsza bitwa, pierwsza wojna, pierwsze rany i pierwsza śmierć. I tak wytrzymali długo. Całe pięć dni i nocy. Sto dwadzieścia godzin. Bez snu, bez jedzenia, bez wypoczynku. Mokrzy, zziębnięci, przemarznięci do kości. Poddawali się, gdy już nie mieli czym strzelać. Gdy już rozpiłowali ostatnie ogniwa przypadkowo znalezionego łańcucha, połamali

noże, wylupali ze ścian stare pordzewiałe gwoździe. On nie zamierzał się poddać. Chciał poprowadzić do ostatniego zwarcia na białą broń, i zginać w walce. Większość miała jednak tylko strzelby myśliwskie, Bagnet trudno było do nich przymocować. Nie poszli do ataku.

Regiment Glennary Highlanders rekrutujący się z rodzin przymierających głodem szkockich osadników-katolików, szczególnie nienawidzących Yankesów za ich liberalizm i sprzeniewierzenie się prawdziwej wierze Chrystusowej, skierowali angielscy oficerowie na pierwszą linię. Oni też ponosili najcięższe straty. Razem z milicją hrabstwa Grenville, byli najbardziej zajadli w poszukiwaniu niedobitków. W zagajniku dopadnięto uciekinierów. Tłuczono ich drągami i pałami. Po pozbawieniu przytomności, ograbiono z butów i ciepłej odzieży. Który tylko stawiał opór, zabijano go bagnetami na miejscu. Z pozostałymi już miano dokończyć gdy na piersiach jednego zauważono medalion z wizerunkiem Matki Boskiej? A więc to nie jankes-przekłęty heretyk. Ocucono go. Podał się za dowódcę. Zaprowadzono go do sztabu. Tam został rozpoznany. Po paru dniach, spędzonych w niewiarygodnej ciasnocie pod pokładem niewielkiego parowca, więźniów dostarczono do Kingston. Wzdłuż Brook Street wił się długi szereg pokrwawionych, ślaniających się, nieogolonych i cuchnących postaci w łachmanach. Orkiestra 83 pułku grała *Yankee Doodle*, amerykański hymn, specjalnie fałszując, biorąc za wysokie tony, zamieniając melodię w zgrzytliwy charkot kociej muzyki. Okrętowy sznur wiążący z tyłu ręce jeńców, opasywał również każdemu szyję. Stojący na chodniku pod ścianami domów tłum szydził, pluł, obrzucał nieszczęśników nieczystościami. Szarpnięcie, uchylenie głowy przed lecącymi kamieniami, gwałtowniejszy skręt ciała powodował naprężenie i zaciśnięcie pętli. Nie wolno było upaść. Sznur zadławiłby najbliższej idących. Czoło kolumny otwierał wysmukły młody mężczyzna o płonących oczach. Poszarpane odzienie, zwisało na nim w strzępach Mocno utykał na przetrąconą uderzeniem kłody nogę. Głowę trzymał do góry dumnie. Patrzył gdzieś przed siebie. Nie dla materialnych korzyści wstąpił do loży Myśliwych Mikołaj Szulc. Mierzył go prymitywizm, zachłanność i dorobkiewiczostwo współobywateli, szczególnie tych zamożniejszych, znaczniejszych, uważających się za coś lepszego. Sam zresztą pieniądze też zrobił. Są rzeczy znacznie ważniejsze niż pieniądze, niż business. Nie można dopuścić, by ludzie zapomnieli o istnieniu takich pojęć jak honor, godność, wierność danemu słowu, złożonej przysiędze, idei, której się służy. On był wierny. Był przede wszystkim wierny samemu sobie. Gardził chyba tym motłochem, co go opluwał i obrzucał błotem. Upodleni przez system sprawowanej władzy ludzie upodlają się sami, upodlają innych. Raz uruchomione perpetum mobile nienawiści, wrogości, kłamstwa i potwarzy obraca się nieprzerwanie. Anglicy rozpuścili w tłumie wieści, że „piraci” pastwili się nad ciałami poległych oficerów królewskiej armii, że posiadali listy najznamienitszych obywateli, których zamierzali zgładzić wraz z rodzinami jak tylko „wyzwolą Kanadę”. Golgota Patriotów trwała przez parę kilometrów. Ciosami kolb zostają wreszcie wepchnięci do kazamatów we wschodniej części dziedzińca fortu. Ściany lochu pokrywa lodowa skorupa.

Dziedziniec nazywany jest dziś Placem Parad i w sezonie letnim studenci przebrani w dawne mundury, specjalnie wyszkoleni według dziewiętnastowiecznych regulaminów piechoty, codziennie odbywają pokazy musztry na użytek turystów licznie odwiedzających sławny fort. W każdą środę zaś i sobotę, o ile tylko pogoda na to pozwoli, ma miejsce półtoragodzinny spektakl. Z udziałem orkiestry wojskowej grającej na bębnach i piszczałkach oraz konnej baterii dział, biorących udział w specjalnie zaaranżowanej bitwie. Siedzący na składanych fotelikach przy ścianie dawnych koszar widzowie, mogą na własne oczy zobaczyć jak niewiele sekund zajmowało sformowanie sławnego brytyjskiego „kwadratu”, który odpierał skutecznie i z dużym hałasem ataki zastępów otaczającego go ze wszystkich stron nieprzyjaciela. I jak w natarciu formowana była równie sławna „cienka czerwona linia” — podwójna tyraliera żołnierzy strzelających kolejno w ściśle odmierzonych odstępach czasu.

W dniu 21 listopada 1838 r. kiedy tylko dotarła do Waszyngtonu wieść, że desant zakończył się niepowodzeniem, prezydent van Buren złożył znamienne oświadczenie: „Obywatele amerykańscy, jeśli się znajdują wśród wziętych pod Prescott do niewoli nie mogą oczekiwać, że rząd Stanów Zjednoczonych wystąpi w ich obronie.” Prezydent umywał ręce. Oficerowie sił zbrojnych Jej Królewskiej Mości królowej Wiktorii, wchodzący w skład sądu wojennego w Kingston, mieli zadanie ułatwione. Sądziłi pospolitych przestępców, kryminalistów, piratów i rabusiów.

Już na pierwszym przesłuchaniu, jeszcze w Prescott, w Fort Wellington, wszystkich bez wyjątku zapewniano, że czeka ich stryczek. Do większości to nie docierało. Chcieli po prostu spać. Tylko spać. Groza położenia pojawiła się z całą ostrością dopiero w kazamatach Fortu Henry. Gubernator Sir George Arthur posiadał delikatną, subtelną inteligentną twarz, smukłe

arystokratyczne dłonie. Malarz sportretował go, siedzącego w głębokim fotelu, zajętego studiowaniem ważnych dokumentów. Mimo woli artysta oddał jednocześnie jakiś wyjątkowy zupełnie wyraz drapieżnego, ptasiego okrucieństwa w wyrazie oczu, w sadystycznym zaciśnięciu wąskich warg. Ten człowiek, w latach gdy sprawował rządy w Hobart, stolicy brytyjskiej kolonii karnej na Ziemi van Diemena, podpisał wyroki śmierci na 1508 osób. Ośmiu, ułaskawił. Zamieniając szafot na dożywotnie przykucie do taczek. Zbyt inteligentny był Sir George, aby nie wiedzieć, jak się naprawdę rzeczy miały, zbyt mądry i zbyt dobrze wykształcony, aby nie zdawać sobie sprawy z działania skomplikowanego mechanizmu terroru, zastraszenia, wzajemnej denuncjacji i szpiegostwa. Mechanizmu, który sam zaprowadzał, napędzał i manipulował nim niezwykle sprawnie. Dlatego właśnie jemu, po szlachetnym i prostolinijnym lordzie Durham, powierzono zadanie uratowania dla korony brytyjskiej staczającej się w otchłań otwartej rebelii kanadyjskiej kolonii. Stał na wysokości zadania. Na Ziemi van Diemena sprawa z ujętymi piratami byłaby krótka. Z desantem pod Prescott należało postąpić podobnie. Wszzechwładnemu gubernatorowi, którego szpicle byli wszędzie i który o każdym wiedział wszystko, nikt nie śmiał się przeciwstawić. Okazywanie surowości było dla tych oficerów milicji, którzy sympatyzowali być może w głębi serca ze stronnictwem kanadyjskich Patriotów, demonstracją ich lojalności wobec korony brytyjskiej. Nie mogli sobie pozwolić na sprawienie zawodu Jego Ekscelencji Gubernatorowi. I nie sprawili. Pierwszy wyrok śmierci wydano na przywódcę bandy rebeliantów. Na długo go zapamiętano. Absolutnie beczelny. Jak śmiał nie prosić o łaskę i drwić sobie z Wysokiego Sądu stwierdzając na samym początku, że jest winny, czym całą procedurę czynił zbyteczną. Posagowy, małomówny, nieporuszony, ledwo raczył odpowiadać na zadawane pytania. Zachowywał się tak, jak gdyby nie jemu je zadawano, jakby to nie on był sądzony, jakby to nie on miał zawisnąć na szubienicy. Nie można go było złamać, ukorzyć. Hardy Polak. Oni wszyscy tacy. Do tego jeszcze poeta. Na biurku przed gubernatorem położono skonfiskowany w jego celi poemat. Nawet nieźle znał angielski. Zatyłował go *Maidens Answer*: W jednym fragmencie wspomina o dalekim kraju w Europie: *For Poland he thought, and for freedom he fell*; Przed śmiercią przeczytał go współtowarzyszom niedoli. Do ostatnich chwil ich pocieszał, podtrzymywał na duchu, utrwalał w postanowieniu, aby umierać godnie. Nie prosić oprawców o łaskę. Wszak byli rycerzami walki o wolność, o ludzką wolność, o zniesienie kolonialnego jarzma — często trzeba walczyć z tymi, których chce się wyzwolić. Gorzki paradoks historii. Odnotowywany jednak na stronicach dziejów powszechnych nie tak znowu rzadko.

Jeszcze w więzieniu zaczynała otaczać Szulca legenda, uwielbienie tych, którymi tak krótko dowodził i szacunek oraz uznanie wrogów. Po długich zabiegach Johna Macdonalda, adwokata z urzędu przydzielonego do rozprawy, zgodzono się, aby umierał na szafocie ustawionym nie na więziennym podwórzu, a specjalnie do tego celu wzniesionej szubienicy przy północnych szańcach Fortu Henry. Umierał tak jak żył i walczył. Wypowiadał się przed katolickim księdzem, przyjął sakrament, podarował katu zwróconą mu złotą tabakierkę i sam sobie założył pętlę na szyję. Było to 8 grudnia 1838 roku. Młody, 24-letni adwokat zapamiętał tę datę i tego człowieka do końca życia. Zapamiętał też, że spisując na życzenie skazanego testament, nie przyjął przeznaczonych dlań stu dolarów. Podkreślał to wielokrotnie. Dla syna oszczędnego szkockiego emigranta, jakim był przyszły pierwszy premier Dominion of Canada, była to ofiara znaczna i godna utrwalenia na kartach pamiętników. Wówczas rozpoczął dopiero karierę prawniczą. Dostycznie niefortunnie. Wszyscy jego klienci wędrowali na szubienicę. Koledzy adwokaci żartowali, że Johna należałoby mianować generalnym prokuratorem, bo wyśmienicie doprowadzał klientów na szafot. Angielskie poczucie humoru od dawna uchodziło za dość specyficzne. W ostatnich dniach przed śmiercią rozmawiał z Szulcem ówczesny szalejący reporter-żołnierz, pisarz i dziennikarz jednocześnie, kawaler orderu wojennego św. Ferdynanda, eks-major John Richardson. Podróżując z Montrealu do Toronto, przejeżdżał drogą prowadzącą w bezpośrednim sąsiedztwie kamiennej wieży wiatraka, u którego stóp, po północnej stronie, wruszoną ziemię wspólnej mogiły Patriotów przysypywał świeży śnieg. Gdy dotarł do Kingston było już po ogłoszeniu pierwszych wyroków. Skazanym pozostało parę dni życia. Dzwoniący kluczami strażnik sprowadził go po schodach do ciemnego wilgotnego lochu. Umieszczone wysoko, niewielkie, zakratowane okienko nie oświetlało go wystarczająco. Dopiero po chwili dostrzegł tłum półnagich, odzianych w strzępy ubrań postaci tłoczących się wokół umieszczonego po środku żelaznego piecyka. Gotowali na nim jakąś strawę, grzali zgrabiące palce. Podmuchy lodowatego wiatru znad rzeki niosły do wnętrza drobiny śniegu. Na dźwięk obracanego w zamku kraty klucza zwrócili zarośnięte, znękane twarze. Tylko jeden z

więźniów nie zareagował. Z założonymi w tył rękami, wyprostowany, z wysoko podniesioną głową, oddany myślom, wolno, metodycznie przemierzał krokami kamienną posadzkę. Robił wrażenie jakby znalazł się w tym miejscu zupełnie przypadkiem, niespodziewanie dla siebie samego. Gdy w końcu dostrzegł nowego przybysza jakby się ożywił. John Richardson nosił wąsy oraz podbitą futrem podobną do szlacheckiej bekieszy zamorrrę i welwetową czapkę z kutasami zawadiacko założoną na bok głowy w stylu, jak sam określił, "*à la Polonaise*". Ten właśnie strój mógł być przyczyną, że tamten w pierwszej chwili — uznał go za ziomka, który przyszedł pocieszyć skazańca przed śmiercią. Rozmawiali po francusku, bowiem tym językiem jeniec władał lepiej niż angielskim. Pomędzy dokładnie wygolonymi Jankesami, noszącymi bokobrody urzędnikami Jej Królewskiej Mości i brodatymi traperami z kanadyjskiej tajgi, wąsate oblicza spotykało się rzadko. Sarmacka ozdoba plemienia Polaków znana była na całym świecie. Po klęsce Powstania Listopadowego rosyjski car zabronił noszenia wąsów. Polak pozostawił niezatarte wrażenie jako człowiek, który wierzył w Wolność nie jako ogólnikową metaforę, ale jako ideę którą się żyje, za którą się walczy i umiera. Na śmierć był przygotowany i pogodzony z losem Wertując strony książki Richardsona *Eight Years in Canada, Montreal 1847*, można trafić na zupełnie nieoczekiwane informacje. Mogą one rzucić nieco nowego światła na to, co się wydarzyło nad brzegami rzeki Św. Wawrzyńca zimą 1838 roku. Niezależnie od atrakcyjności i — sensacyjności opowieści o polskim Donkiszocie i „piratach”, której każdy rasowy dziennikarz poświęciłby odpowiednio dużo miejsca, Richardson usuwa ją niejako w cień, zajmując się głównie problemem dezercji i dezertersów z regularnych oddziałów kolonialnej armii i floty. Aż 5000 żołnierzy i oficerów w latach 1813-1838 opuściło szeregi królewskich wojsk. Dezertowali za południową granicę pojedynczy żołnierze, nawet całe kompanie. Służba królowej była wyjątkowo ciężka i źle płatna. Morderczy dryl, drakońskie kary, wyniosłość i pogarda jaką darzyli zwykłych szeregowych panowie oficerowie, na pewno należały do poważnych przyczyn takiego stanu rzeczy, ale nie jedynych.. Dezerterszy, to były straty w kategoriach jak najbardziej ekonomicznych. Należało zrobić wszystko, aby przynajmniej ograniczyć dezercję. Najważniejszą jest wprowadzenie zakazu czytania. Czytania czegokolwiek. Drugą — rozszerzenie praktyki umożliwiania zakładania rodzin przez żołnierzy po 15 latach nienagannej służby.

Planujący desant uderzeniowych oddziałów Łóż Myśliwych musieli uwzględniać w kalkulacjach szansę powodzenia całej operacji również morale brytyjskiej armii.

Gubernator-sadyśta polecił wieszać skazanych pojedynczo co kilka dni. Dla pechowców koszmar oczekiwania w kolejce na szafot miał trwać miesiące. Modląc się i złorzecząc serdecznie zazdrościli tym, którzy już gnili w ziemi i tym których rozstrzelano od razu. Struny jednak nie należało przeciągać. Egzekucja Martina Woodruffa, eks-szeryfa z Salinas, makabryczna i okrutna, spowodowała falę coraz głośniejszych protestów z terenów obu Kanad. Założono źle stryczek. Nie zadławił skazańca natychmiast. Rzęzenie i skurcze dręczonego ciała trwały dwadzieścia minut. Katowscy pomocnicy musieli wspinać się na poprzeczną belkę szubienicy, aby podnosząc ofiarę za kołnierz gwałtownymi szarpnięciami spowodować zaciśnięcie pętli. Udało się to dopiero za czwartym razem. Ohydne widowiska nie wytrzymał nawet ci o najmocniejszych nerwach. Po Woodruffie powieszono jeszcze paru, reszcie darowano życie zamieniając wyrok na dożywotnie zesłanie na Ziemię van Diemena. „26 września 1839 roku 60 uczestników bitwy pod Prescott wsiadło w Quebecu na pokład HMS "Buffalo", aby po wielomiesięcznej podróży przez pół świata dobić do miejsca katorgi.

Niebieską chorągiew z napisem *Liberated by Onondaga Hunters* zawieszono w londyńskiej Tower wśród najcenniejszych trofeów z pól bitewnych i wygranych wojen Imperium. Niewiele brakowało, żeby Brytyjska Ameryka Północna już przed półtora wiekiem znikła z politycznej mapy tego kontynentu. *Poor deluded Schoultz. Deluded...* ten przymiotnik często pojawia się przy nazwisku tego człowieka w kanadyjskich książkach. Nie pierwszy to raz w historii cudzoziemscy autorzy, ci nieliczni, którzy usiłują nas zrozumieć i darzą mniejszą lub większą sympatią, pobłażliwie ubolewają nad różnymi Samossierami tych „biednych, oszukanych Polaków”. Płacących cenę najwyższą, własnego życia i dobrego imienia w imię brudnych interesów innych.

Zobacz także te strony:

[Chrześcijaństwo w Kanadzie](#)

[Konstytucja Kanady](#)

Witold Stanisław Michałowski

Pisarz, podróżnik, niezależny publicysta, inżynier pracujący przez wiele lat w Kanadzie przy budowie rurociągów, b. doradca Sejmowej Komisji Gospodarki, b. Pełnomocnik Ministra Ochrony Środowiska ZNiL ds. Międzynarodowego Rezerwatu Biosfery Karpat Wschodnich; p.o. Prezes Polskiego Stowarzyszenia Budowniczych Rurociągów; członek Polskiego Komitetu FSNT NOT ds. Gospodarki Energetycznej; Redaktor Naczelny Kwartalnika "Rurociagi". Globtrotter wyróżniony (wraz z P. Malczewskim) w "Kolosach 2000" za dotarcie do kraju Urianchajskiego w środkowej Azji i powtórzenie trasy wyprawy Ossendowskiego. Warto też odnotować, że W.S.M. w roku 1959 na Politechnice Warszawskiej założył Koło Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli. [Więcej informacji o autorze](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 02-06-2007 Ostatnia zmiana: 02-06-2007)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5392) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5392>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz
Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl